Nr. 7. Warszawa, dnia 31 Stycznia (12 Lutego) 1873 roku. ROK IX. SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie .... „ 2 kop. 50
kwartalnie ...... „ 90	
miesięcznie ..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

NASI ROBOTNICY.

W każdéj porze roku, między 5 i 7 zrana, kiedy wybrańcy fortuny śpią w najlepsze albo z wesołéj powracają zabawy. spotkać można ludzi z węzełkami i blaszankami w rękach, biegnących pojedynczo lub po kilku, mruczących pacierze lub pogwizdujących przez zęby. Z ubioru wyglądają oni na żebraków; którzy kiedyś mieli się lepiéj, — w istocie zaś są to nasi robotnicy.

W dzień powszedni, ludzie ci, od świtu do nocy, zapełniają fabryki i mniejsze warsztaty, – w niedziele i święta kościoły, gdzie modlą się najgłośniéj. Łatwo ich poznać w bawaryjach, gdzie piją gromadnie a wytrwale, tudzież w ludowych salach balowych, gdzie odznaczają się niepospolitą energiją w tańcu.

Niekiedy na ulicach spotykamy snujących się inwalidów, którzy nigdy nie widzieli wojny a przecież są kalekami! Ciężka praca i jeszcze cięższa nędza nadają obliczom ich jakiś tragiczny wyraz, na widok którego litość i głęboki smutek przejmują duszę. I oni też są reprezentantami klasy robotniczéj, klasy— która najliczniéj stosunkowo zapełnia więzienia, domy przytułku, szpitale a w końcu stoły teatru anatomicznego i groby bez nazwiska...

Długi czas prawie że nie zwracano na nich uwagi, a jeżeli kiedyniekiedy podniósł się głos pojedynczy, w sprawie oświaty i dobrobytu robotników, milknął on rychło nie znalazłszy echa zarówno między tymi, do których był zwrócony, jak i między tymi, których interesa popierał. Dziś jest inaczéj, lecz nie o wiele lepiéj, gdyż jakkolwiek codziennie czytać i słyszéć można śpiewkę: że robotnicy nasi są nieliczni i ciemni, że skutkiem tego, nasz zacofany przemysł znajduje się przeważnie pod wpływem obcych, ogół jednak prawdy te powtarza bezmyślnie i nie umie się do nich zastosować. Sądzimy, że kilka poniżéj wypowiedzianych uwag, rozjaśnią czytelnikowi do pewnego stopnia tę ważną kwestyję—naszych robotników i naszego przemysłu.

W r. 1864 w Królestwie Polskim znajdowało się przeszło 91,000 ludzi zajmujących się rzemiosłami, z któréj to liczby na Warszawę przypada ich około 8,000. W r. 1871 w saméj Warszawie, podług wykazów, było 9,115 rzemieślników; gdyby zatym w całym kraju liczba ich wzrosła w tym samym stosunku, to wypadłoby, że obecnie w Królestwie jest około 105,000 rzemieślników. Cyfra ta zdaje się być dość bliską prawdy, jeśli zważymy, że w latach 1870—71 w m. Warszawie, gub. Kaliskiéj, Petrokowskiéj i Kieleckiéj, czyli w miejscowościach gdzie przemysł stoi najlepiéj, znajdowało się razem 41,000 robotników, — a trudno znowu przypuścić aby w reszcie kraju znalazło się ich więcéj niż 64,000. Dodać tu należy, że do postawienia cyfry dokładnéj w miejsce prawdopodobnéj, brakuje nam danych.

105,000 ludzi jest to napozór ogromna liczba, — w gruncie rzeczy jednak stanowi ona zaledwie 1,8% sześcio-milijonowéj ludności Królestwa, które tym sposobem na 1000 mieszkańców liczy 18 rzemieślników.— 18 ludzi ma dla siebie i 981 innych przygotować sukno, płótno, napoje, pokarmy, budynki, sprzęty i t. d. to chyba nie wystarczy!..

Dodajmy do tego, że robotnik warszawski nie jest produkcyjniejszy od zagranicznego, że na prowincyi jest mniéj produkcyjny niż w Warszawie, w małych warsztatach mniéj niż w dużych fabrykach. Tak np. 1 fabryczny robotnik w Warszawie w r. 1871 produkował za rsr. 1840, takiż sam w m. Petrokowie za rsr. 1525; w gub. Kieleckiéj w r. 1870 za rsr. 1329, w Petrokowskiéj w r. 1871 za rsr. 881, a w Kaliskiéj w r. 1870 za rsr. 852. Tym sposobem w dwu ostatnich gubernijach robotnik produkował przeszło dwa razy mniéj niż w Warszawie. W innych miejscowościach produkcyjność jednostek musi być jeszcze mniejsza, z porównania bowiem przyjętéj przez nas cyfry robotników, z ogólną

ŚLADY ŻYCIA.

VII.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Mimo ogłoszeń od Redakcyi, nie wszyscy czytelnicy nasi zrozumieli czego mają prawo od nas wymagać, jak o tym przekonywają listy kilku nowych prenumeratorów żądających bezpłatnie powieści drukowanej w r. z. p. t. „*Szpieg pruski.*" Nie mogąc dokończyć dodatku tego w r. z., arkusz uzupełniający wydaliśmy w r. b. dla *dawnych* abonentów naszych i to bez względu czy nimi są obecnie lub nie. Co zaś do powieści „Hrabina Elodyja" donosiliśmy w swoim czasie, że komplety „Opiekuna" z 4-go kwartału r. z., w których mieści się jej początek są do nabycia w Redakcyi po cenie rs. 1 kop. 20. Gdy jednak w skutek znacznego powiększenia się liczby prenumeratorów, a stąd i licznych zapotrzebowań—komplety o których mowa zostały już zupełnie wyczerpane, postanowiliśmy złożyć nowe oddzielne wydanie początku wzmiankowanej powieści i prześlemy je wkrótce nowym pp. prenumeratorom bezpłatnie.

* * *

Niezgodność tytułu z treścią, jest najpospolitszym zarzutem jaki we wszelkich w ogóle recenzyjach znaleść można — nie można go jednak stosować do prelekcyi p. *Ludwika Czaki*, która miała miejsce w zeszły poniedziałek w sali Resursy Obywatelskiéj. Tematem odczytu był: „Człowiek roślinożerca" i rzeczywiście prelegent nie tylko mówił o człowieku roślinożercy, ale nawet sam się przedstawił publiczności w tym wyjątkowym charakterze. P. Czaki usiłował dowieść że jedzenie mięsa jest niegodnym człowieka i że jeśli chcemy, zachować prawdziwą siłę umysłową, powinniśmy karmić się wyłącznie korzonkami, owocami i innemi produktami roślinnemi.... Poglądy swoje p. Cz. opierał na téj przez siebie wynalezionej fizyjologicznéj podstawie, że organizm człowieka nie jest zbudowany do przyjmowania pokarmów mięsnych. Nieznając najmniejszego pojęcia o fizyjologii i anatomii, p. Cz. odważył się wystąpić publicznie z odczytem, w którym traktował fizyjologów jako szarlatanów, a siebie jako apostoła nowej ery... gastronomicznéj. Słuchając tego szeregu absurdów, jakie prelegent z powagą godną lepszej sprawy, przez ciąg jednéj godziny wypowiedzieć zdołał — nie wiedzieliśmy na co się więcéj oburzać czy na bezrozumną logikę człowieka nie mającego odpowiedniego do przedmiotu wykształcenia, czy na zuchwałą śmiałość z jaką nadużył dobrych chęci naszej publiczności, śpieszącej na odczyt po słowo gruntownéj wiedzy. Wartoby już raz położyć koniec tym nadużyciom, zniechęcającym ogół do uczęszczania na odczyty publiczne, których całą wartość przy dzisiejszym stanie rzeczy pojmuje. Niech p. Cz. karmi się korzonkami, jeśli chce, ale niech nie każe sobie płacić za wiadomość, że

wartością przemysłowych produktów całego kraju, (wynoszącą 75 milijonów rubli), wypada, że 1 robotnik polski produkuje średnio za 714—750 rsr. rocznie. Tak przynajmniéj mówią wykazy.

W cyfrach podanych przez nas mieszczą się naturalnie wartości materyjałów surowych, koszta narzędzi, płaca robotników, zyski przedsiebierców i t. d., nie można więc z tych cyfr wnosić, że robotnik nasz mniéj pracuje od zagranicznego. Owszem, pracuje on może i ciężéj od innych, ale mniéj umie od nich i mniéj machin ma do pomocy.

Bezpośrednim wynikiem małéj liczby i małéj produkcyjności robotników, jest niski stan naszego przemysłu. Aby dać o nim pojęcie czytelnikowi, przytoczymy tu z małemi zmianami cyfry, które już przy innéj sposobności cytowaliśmy [1].

„Produkcyja dzisiejszego przemysłu w Królestwie dochodzi 75 milijonów rubli (po $12\frac{1}{2}$ rsr. na osobę rocznie), nie może jednak wystarczyć na miejscowe potrzeby, a dowieść tego bardzo łatwo. Wyroby np. gorzelni warte są 15 milijonów rnbli, przyjąwszy więc sześciomilijonową ludność, wypada, że jedna osoba konsumować może spirytualijów za $2\frac{1}{2}$ rsr. rocznie....”

„Młyny parowe, wietrzne i wodne dostarczają swoich wyrobów za 16 milijonów rubli; miałażby więc 1 osoba na rok konsumować kaszy, mąki i t. d. tylko za $2\frac{2}{3}$ rsr.? Fabryki wyrobów bawełnianych produkują za 8 milijonów rubli jedna więc osoba rocznie tylko za $1\frac{1}{3}$ rsr. zużywać ich może. Tak samo dzieje się z innemi gałęziami przemysłu. Garbarnie np. produkują za $3\frac{1}{2}$ milijonów rubli, fabryki sukna wszelkich gatunków za $2\frac{3}{5}$ milijonów rubli, wyrobów lnianych za $1\frac{2}{5}$ milijonów rubli, mydła i świec za $1\frac{1}{5}$ milijonów rubli, machin i narzędzi rolniczych za 1 milijon rubli, — podczas gdy cukrownie produkują za 6 milijonów rubli, fabryki tabaczne za $2\frac{1}{2}$ milijonów rubli, browary za 2 milijony rubli swoich wyrobów. Słowem, więcéj cukru niż płótna, więcéj tytoniu niż sukna, więcéj piwa niż mydła, a wszystkiego za mało,—oto obraz naszego przemysłowego stanu.”

[1]) *O potrzebie wyższego naukowo-technicznego zakładu u nas.* Przyroda i Przemysł r. 1872. Nr. 39.

Dodajmy do tego, że ogromna większość niektórych przedmiotów produkuje się w gub. Warszawskiéj i Petrokowskiéj, z którémi pozostałe tylko w ilości wyrobów spirytualnych mogą iść o lepsze. Dodajmy i to, że przywóz do Cesarstwa z zagranicy wzrasta rok rocznie średnio o 44 milijony, wywóz z Cesarstwa za granicę wzrasta o 15 milijonów rubli rocznie. Dodajmy wreszcie i to, że do Prus i Rosyi wywieziono np. w r. 1869 produktów powiększéj części surowych prawie za 43 milijony rubli, z Prus zaś do Rosyi przywieziono powiększéj części wyrobów za 126 milijonów —i że gdybyśmy mieli więcéj rzemieślników i więcéj oświaty, to przynajmniéj jakaś część z tych ogromnych bogactw mogłaby u nas pozostać! I któż zaprzeczy teraz, że właśnie w niskim stanie naszego przemysłu, leży źródło zależności naszéj od Niemców i że w podniesieniu téj gałęzi społecznego gospodarstwa spoczywa przyszłość nasza?

Nim to jednak nastąpi nie zawadzi zaznaczyć, że na 105 tysięcy rzemieślników, uczęszczało do szkół niedzielnych 6,108 chłopców w r. 1871, czyli że po kilku leciech mieć będziemy między 100 rzemieślnikami 6 zaledwie takich, którzy ukończyli nibyto rzemieślniczą niższą szkołę. Z zakładów średnich mamy wyższą rzemieślniczą szkołę w Łodzi, że jednak do niéj w roku 1871/2 uczęszczało 144 uczniów, więc za kilka lat między 2000 rzemieślników znajdzie się około 3 takich, których ukształconemi nazwać będzie można. Dodać należy i to, że np. w r. 1870 z 9 tysięcy rzemieślników warszawskich, z czytelni bezpłatnych tylko 477 korzystało! Nie potępiajmy ich jednak zbyt skwapliwie, jeżeli bowiem między nimi znajduje się 6 procent uczących się, na ogólną za to ludność Królestwa przypada 3 procent czyli,—że jakkolwiek ciemni są nasi robotnicy, ogół przecież stosunkowo jest od nich dwa razy ciemniejszy.

Z tym wszystkim porównanie to nie zmienia faktu głównego, jakim jest brak oświaty między rzemieślnikami naszemi. Z tego źródła wypływają trzy złe następstwa. Naprzód, że w ogóle rzemieślnicy u nas muszą do końca życia ciężko pracować i rzadko dochodzą do średniéj zamożności, podczas gdy cudzoziemcy robią majątki. Powtóre, że w ogóle nie słychać u nas o samodzielnych wynalazkach i ulepszeniach, które za granicą pojawiają się niemal codziennie, a które mogłyby się pojawiać i u nas, ponieważ i naszym robotnikom nie zbywa na bystrości umysłu. Potrzecie, że skutkiem braku oświaty, braku zamiłowania do książki, a wreszcie i braku książek, robotnik nasz nie może nawet korzystać z ulepszeń gdzieindziéj dokonanych. Naturalnie, trafiają się wyjątki, tak przecież nieliczne, że ile razy u nas, czy to jakaś nowa gałąź przemysłu powstaje, czy też do dawnéj wprowadza się reforma, tyle razy potrzeba sprowadzać rzemieślników z zagranicy.

W 66 większych fabrykach warszawskich, w r. 1870 na 5,844 robotników krajowych, było 262 cudzoziemców, a w roku następnym na 6,064 pierwszych znajdowało się 284 drugich; w r. 1869 w fabrykach wyrobów lnianych i konopnych w Żyrardowie i Błędowie na 1,673 krajowców było 402 obcych. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że cyfry powyższe wyrażają natężenie sympatyi właścicieli fabryk (zazwyczaj cudzoziemców) do swych współrodaków: sympatyja taka zawiele kosztowałaby fabrykanta, który zagranicznym robotnikom więcéj płacić musi niż krajowym. W istocie, cyfry te wyrażają brak fachowego ukształcenia u nas.

Bardzo jest naturalnym, że w ogólnéj cyfrze rzemieślników Królestwa, liczba cudzoziemców dochodzić musi dziesiątków tysięcy, że zaś ludzie ci, oprócz ilości mają za sobą i powagę stanowiska, jako nauczyciele i zwierzchnicy robotników tutejszych, bezpośrednim więc następstwem takiego stanu rzeczy jest pewne skandaliczne zjawisko w dziedzinie naszéj umysłowości, zjawisko, które kto chce, nazwać może językiem naszych rzemiosł.

Każdy, w życiu codziennym, może się porozumieć z rzemieślnikiem,— niechże jednak sprobuje porozumieć się z nim w warsztacie. Niech zgadnie co znaczy: *lon, akord, fercentag, fajerant,* — co znaczą np. u ślusarzy: *bory, lochbory, sznajdbory, baki, kluby, mesle, hartmesle* i t. d.; niech wykona jedną z czynności, które nazywają się: *szpanowaniem, meslowaniem, borowaniem, glejowaniem;* niech nie grzeje stali *na hyc* itd. itd. W każdym rzemiośle znajdują się dziesiątki i setki podobnych symbolów, a któż powie, czym one stają się dla człowieka, który w całym swoim słowniku nie posiada paru tysięcy wyrazów? Żargonu tego słucha się ze zdumieniem i używa ze zgrozą dotąd, dokąd się nie nabierze przeko-

---

od sześciu miesięcy nie miał w ustach ani kawałka mięsa i że pomimo to władze jego umysłowe cieszą się zupełną świeżością... Trzydzieści kopiejek, to za wiele za tak doniosłą wiadomość — jeśliby jednak prelegent-roślinożerca, chciał nas kiedykolwiek zaszczycić drugim podobnego rodzaju odczytem, — to możemy mu do jego argumentów, dodać równie trafny a więcej uzasadniony fizyjologicznie —mianowicie że *barany* także karmią się wyłącznie roślinami.

* * *

O pierwszym tegorocznym numerze *Kroniki Rodzinnéj* wspomnieliśmy pochlebnie. Znać w nim było staranny układ artykułów, w ich rozmaitości — i pewien takt w sposobie wypowiadania przekonań — co więcej numer ten pozwalał się spodziewać że *„Kronika”* nie zapomni, że jest *„Rodzinną”* i dawne w tym względzie błędne pojęcie swego zadania sowicie wynagrodzi. Tymczasem obawiamy się, ażeby się nie stało przeciwnie. Oto dowody na podstawie których wyrażamy nasze obawy. Trzeci numer *Kroniki* zawiera: „Czyny miłosierdzia chrześcijańskiego we *Francyi*”, „Od podnóża *Etny*”, „Ogród botaniczny w *Kew nad Tamizą*”, „Szkice z *Włoch*”, „Listy o *Ameryce*”, „Szkoła robót kobiecych w *Reutlingen*”, Angela powieść *niemiecka*”, „Kronika ruchu naukowego *za granicą*”. Wszystko to w jednym numerze. Gdyby *Kronika* wychodziła np. w Rzymie, nie mielibyśmy nic przeciw takiemu układowi treści — ale czemuż przynajmniej nie zmieni swego tytułu, który czytelników bez potrzeby w błąd wprowadza?

* * *

Wedle otrzymanych przez nas wiadomości, Gazeta Sądowa która miała ukazać się z d. 1 Stycznia r. b., zacznie wychodzić od 1 Kwietnia pod redakcyją p. Filipa Flamma. Przyczyną zwłoki jest zmiana redaktora, pierwotnie bowiem koncessyja udzieloną była na imię p. Prokopowicza. O ile nas dochodzą posłuchy, prawnicy energicznie wzięli się do dzieła. Zebrało się dość liczne kółko pracowników, w liczbie których są ludzie znani z niezaprzeczonych zdolności i pracy, i oni to stanowić mają komitet redakcyjny. Komitet ten dzieli się na dwie sekcyje: kryminalną i cywilną, a każda sekcyja składa się z 6 członków. Tak obfity zapas sił redakcyjnych zwłaszcza przy pomocy wykształconej młodzieży prawniczej, której pracę możnaby też na korzyść pisma zużytkować, daje nadzieję, że przecież raz będziemy mieli pismo specyjalne prawne dobrze redagowane. Fakt to nader pocieszający i dla tego też chętnie notujemy go w *śladach życia.*

Gazeta Sądowa ma wychodzić raz na tydzień, w formacie Bluszczu.

* * *

Jeden z naszych prenumeratorów, jak już o tem donosiliśmy, podniósł myśl, aby Redakcyje pism wraz ze swemi czytelnikami tworzyły stypendyja, celem wysyłania za granicę młodych pracowników, którzyby tą drogą uzupełnić mogli specyjalne swe studyja. Stypendyści tacy zaciągaliby moralne zobowiązanie względem ofiarodawców, którym spłaciliby ten dług przez następną użyteczną pracę w tym samym organie. — Redakcyja nasza podzielając w zupełności ten zacny projekt, w myśl obowiązujących przepisów, wniosła do właściwéj Władzy podanie o dozwolenie zbierania składek na wzmiankowany cel, a o rezultacie nieomieszka czytelników zawiadomić.

* * *

Od żywych przejdźmy do umarłych. Oddawna już zwracano uwagę na niewłaściwość chowania ciał zmarłych, bez dostatecznéj pewności czy śmierć rzeczywiście nastąpiła. Z drugiéj strony niejednokrotnie uczeni zastanawiali się nad tym jak uchronić tych którzy pozostają na ziemskim padole, od wpływu tych którzy nas porzucili na zawsze, ja-

nania, że to kompromitujące język zbiegowisko dźwięków, stanowi potężną i niczym nie dającą się zastąpić dźwignię naszego przemysłu!...

Przejdźmy do bytu robotników. (*d. n.*)

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

XI.

Zagniewany, zmęczony, zaperzony Gucio, wpadł owego wieczoru do swego mieszkania na ulicy Mazowieckiéj — i zapowiedziawszy lokajowi, aby mu wyszukał pana Jerzego, i nikogo więcéj nie przyjmował — upadł na szes-long, w postawie człowieka okropnie podrażnionego, któremu się najkompletniéj nie powiodło!

W największéj niespokojności targał za miękkie ciemne wąsiki — gryzł sygaro — i podarł białą ręką batystową chustkę, zupełnie tak, jak to w takim razie zwykła czynić Elodyja. Podobieństwo familijne mogło istnieć — bo Gucio był jéj bratem z pierwszego małżeństwa jéj ojca — i wychowanym przez piękną arystokratkę—Klementynę Ruszczyc — jéj dotąd żyjącą, a zawsze ładną matkę podług twierdzenia złośliwych i niewinnego poglądu jéj saméj — dobrą i czułą przyjaciołką hrabiego Władysława.

Jedenasta biła na pysznym marmurowym zegarze gdy Jerzy wszedł do salonu.

— I cóż? — spytał podając leżącemu rękę.

— Co?! o! ty nie wiesz co się stało?..

— Głupio się stało! — ale można to było przewidzieć! panna pobożna, skromna, pracowita — ta stara całe psalmy śpiewała mu na ten temat do ucha przez drogę! — Źleś się wybrał mon cher!

— A! okropnie! ledwo zdołałem ją namówić aby poszła do cukierni — i zacząłem delikatną rozmowę — poznała mię — i zgadnij co mi powiedziała?

— Żebyś sobie poszedł precz?

— Nie! żem podły! — i że bluźnię!..

— Ha! ha! pocieszna mała!

— Słuchaj Jerzy!.. — i Gucio zerwał się z krzesła — mnie jednak te słowa palą piersi jak ogniem — ona miała słuszność!..

— Czyś ty zwarjował?.. jeszcze o tym będziesz myślał? no! to już z ciebie nigdy nic innego nad kapryśnego dzieciaka się nie wyrobi!

— Ale ona zbladła jak marmur — a potym gdy ojciec jéj narzeczonego robił hańbiące ją przypuszczenia — z jękiem zawezwała mego świadectwa!..

— A ty?

— A ja! — milczałem! — ja jestem podły!.. — krzyknął Gustaw kryjąc twarz w poduszkę na kanapie!

— Si fait! — rzekł spokojnie Jerzy — ale cóż pomogą skrupuły?..

— Ja może zniszczę jéj szczęście!

— Bardzo być może!

— Narzeczony z nią zerwie!..

— Myślę że nie! bo ów obrońca będzie świadczył! ale choćby i tak było — to co?

— Szatanie! — ona święta! anioł! piękna jak bóstwo! dystyngowana! ah! ja ją kocham!

— Dałbyś pokój deklamacyi — bo mię to już naprawdę nudzić zaczyna — każ dać herbatę—i pomówimy rozsądnie o całéj sprawie!

Gucio machinalnie pociągnął za taśmę od dzwonka, wydał rozkazy — i położył się napowrót na sofie.

— Najprzód — powiedz mi — czy kto ze znajomych był obecny wszystkiemu!

— Bardzo wielu!

— Mianowicie?

— Micio, Janusz, pan Salezy, Ksawery, Zenon!

— Hm! to źle! — rozplotą po całéj Warszawie!

— Ah! to będzie straszne! w łeb sobie wypalę!..

— Byłaby to prawdziwa niedorzeczność! a jeszcze większa śmieszność! — odpowiedź niepraktyczna — umityguj się proszę cię — i mów daléj. — Jak oni to uważali?

— Jaknajgorzéj! — z oburzeniem!

— A sami wiecznie są do czegoś podobnego gotowi!

Głupia sprawa! — ale trzeba się bronić! — Jutro będę u pani Delfiny — hrabiny Dżarskiéj — u Otylii — historyjkę zręcznie ubarwię — zaintryguję kobiety — i za tydzień wszystko pójdzie w zapomnienie!

Nawet taka awantura miłośna doda ci w ich oczach uroku — podąsają się że wybrana nie z ich koła — ale one najwięcéj pragną tych, co są obojętni na ich sidła — co niemi gardzą! — To już natura naszych pań — najmilszy owoc zakazany!

— Mój dobry Jerzy! uspokajasz mię co do opinii — ale

— Jakież może jeszcze byc ale?..

— Ja ją obraziłem śmiertelnie — postąpiłem podle!

— Mój Guciu! majaczysz?

— Ja ją kocham szalenie! — porwę ją! wywiozę — przebłagam! uszczęśliwię!..

— Nie! ty niezawodnie masz napad kanikuły!

Jaka szkoda że nie żyjesz w XVIII wieku! twoje miłosne zapały byłyby zupełnie na miejscu — ale dziś — daruj — trącą staroświecczyzną i śmieszną przesadą! — mówił z flegmą Jerzy!

— Ty masz krew jak wodę! człowiecze z granitu! Wiesz? myśl cudowna! list do niéj napisz!

— A po liście?

Gucio stracił minę!

— Słuchaj szalony młodzianie! nie zakłócaj pokoju małéj świętoszce — zalecaj się wszystkim młodym mężatkom po kolei — graj — pij — nie mysl o niczym — a zapomnisz fantazyi dzisiejszéj!

— Ty w miłość nie wierzysz?..

— A ty? — i cóż to jest miłość w naszych czasach? gdzie jéj szukać? wszak każdy z nas kocha się od rana do nocy — ale pewno nie miłością mglisto szarą jaką opłakują poeci! Kocham dziś tę cudowną Rózię o włosach jak heban i ząbkach z kości słoniowéj — która za każdym brzęknięciem złota, są dla mnie gotowe do obejrzenia dokładnego. — Kocham Ludkę nieporównaną — kocham połowę znajomych pań, młodych i zalotnych — ale z tego zbytku uczuć, pewno ożenię się z jaką chudą kokoszką, co mi będzie niosła złote jajka! — Bo przecież żyję w wieku cywilizacyi, która wykluczyła wszelką sentymentalność z powszedniego życia! — Kochać i być wiernym! — polityczne to — ale niezmiernie głupie!

— A jednak — mnie się zdaje — że mógłbym pokochać się całą duszą, bez pamięci — do szaleństwa! inaczéj niż dotąd kochałem! bo też słusznie mówisz że to nie była miłość — to niska chwilowa namiętność! — rzekł rozmarzony Gucio.

— A twoja nowa miłość byłaby tym sa

śniéj mówiąc: jak zabezpieczyć ludzkość od chorób które powodują wyziewy z ciał zmarłych rozchodzące się. Obie te kwestyje, ze stanowiska higijeny publicznéj opracował p. St. Wojciech Łukowski, w oddzielnéj broszurze p. n. „*Oględziny i grzebanie ciał zmarłych.*“ W kwestyi grzebania autor zaleca palenie ciał zmarłych, chociaż z góry przewiduje, że środek ten nieprędko jeszcze zdobędzie sobie uznanie. Dziełko to wyszło nakładem Redakcyi Gazety Lekarskiéj i zaleca się jasnym i dokładnym przedstawieniem kwestyi za stanowiska dzisiejszych badań; przeto polecamy je uwadze osób, które sprawa higijeny publicznéj zainteresować potrafi.

* *
*

Do dnia 13 Stycznia r. b. czyli przez kilkadziesiąt lat *monopol solny* t. j. zakup, transport i sprzedaż hurtowa soli była u nas wyłącznie w ręku rządu. W tym celu mieliśmy w królestwie 37 magazynów solnych rządowych, w których sól sprzedawaną była. Osoby prywatne, mianowicie kupcy mogli tylko kupować w pewnych masach sól w tych magazynach i takową detalicznie publiczności sprzedawać. Cena soli ustanawianą była przez rząd. Skarb zyskiwał przy tym monopolu przeciętnie po 56½ kop. na pudzie, co wynosiło rocznie 1,590,100 rs. Obecnie monopol solny został zniesiony i prywatni przedsiębiercy będą mogli już zajmować się zakupem, transportem i sprzedażą hurtową soli. Magazyny rządowe również zostały zniesione. Istnieć tylko będzie cło od soli przywożonéj do nas z zagranicy, które będzie opłacane na komorach i ma wynosić 38½ kop. od puda.

* *
*

Instytucyi kredytewych mamy już w kraju kilka, a podobno wkrótce jedna nam jeszcze przybędzie. Ma to być *Bank rzeczowy Ziemski*. Bank o jakim mowa udzielać ma pożyczki na majątki ziemskie za zabezpieczeniem hipotecznym w pierwszym miejscu po Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, na zakłady fabryczne i przemysłowe wiejskie, oraz na zastawy płodów i narzędzi rolniczych, a także inwentarzy żywych i martwych. Założycielem jest p. Bloch znany bankier Warszawski. Witamy z serdecznym uznaniem instytucyją, która ma podać rękę zagrożonemu krajowemu rolnictwu. Z powodu klęsk jakie w ciągu ostatniego lat dziesiątka na kraj się nasz zwaliły, większość obywateli rolników w nader krytycznym znajduje się położeniu. Mniej zamożnych przepadło już wielu, zamożniejsi gonią ostatkami. Obywatel ziemski u nas, gdy mu zapasowego nie starczyło grosza, a Towarzystwo Kredytowe miejsce w hipotece zajęło, miał jedyną tylko drogę ratunku..... który wcześniéj czy późniéj prowadził go do ruiny; była to pożyczka u handlarzy małomiasteczkowych, vulgo lichwiarzów najczystszéj wody! Żeby z tych rąk się wydobyć, żeby tysiące rodzin od ruiny ocalić, oszczędność i praca nie starczały i nie starczą. Potrzeba było instytucyi któraby dając większe naraz i na umiarkowany procent pożyczki pozwoliła wydobyć się z tych pijawczych uścisków. Jeżeli jak domyślać się wolno, Bank rzeczowy ziemski, takie postawił sobie zadanie, to i sam będzie dobre robił interesa i ogromnie zasłużyłby się krajowi.

Jedno tylko martwi nas w ustawie. Jak rolnictwo i przemysł wiejski, tak rzemiosła i w ogóle przemysł miejski, gwałtownego potrzebują poparcia. Tymczasem jak nateraz przynajmniéj, miasta w *kredycie rzeczowym* nie będą mogły miéć udziału, a szkoda, bo wielu zwłaszcza też początkujących przedsiębierców, ratowaćby się mogło. Kiedy już o projektach mowa nadmienić wypada, że od dwu lat oczekiwane i kilkakrotnie zapowiadane jest *Towarzystwo budowlane miasta Warszawy*. Czy i to towarzystwo przydałoby nam się na co? zapytajcie lokartów!

Ludność Warszawy od lat kilku zwiększy-

mym—sensualizmem—nieco w innéj szacie—bo to zależy od usposobienia!—tylko nie rób tak nadnaturalnie czułéj miny — wszystko to jest mauvais genre—i nie pojmuję—skąd ty—wychowany w sferze salonów, możesz mieć tak sielankowe serce—i ułożenie!—Staraj się poprawić!

— Więc powiedz mi jaki jest cel życia?

— My — dobrze urodzeni nie potrzebujemy mieć celu—żyjemy podług fantazyi—robimy co nam przyjdzie do głowy—a wszystkie podobne kwestyje powinniśmy zostawiać dla ludzi wydziedziczonych od szczęścia należenia do naszéj koteryi.—Żydzi i mieszczanie powinni myśleć o interesach—chłopi i ekonomowie o pracy— a my— pędzimy sobie życie swobodni—i bawimy się—lub ziewamy pod pozorem zabawy—ale zawsze jako śmietanka ludzkości—mamy wiele właściwych sobie przywilei—a nadewszystko—zupełną odrębną cechę arystokracyi, która nie dozwala nam zagłębiać się w naukach, lub zajmować się czymkolwiek z egzaltacyją parafijańską—pod karą „mauvais genre!“

— Wiesz Jerzy — ty mnie czasem oblewasz taką zimną wodą—że doznaję dreszczy!

— I tak jesteś nadto gorący!

— Ależ bo zbyt wiele wrażeń dziś na moje biedne nerwy!—Beata! niezrównana Beata!

— Chodźmy do twojéj pięknéj macochy—ona dziś przyjmuje—zastaniemy wyborne towarzystwo — zabawisz się — i plotkom położymy koniec!

Pójdź mój don Juanie!

— Ah! jestem dziwnie rozstrojony!

— To cię nasze panie dostroją — pójdź — ubierz się, bo będziemy późno!

— Michaul que tu es!..

— Est-il bête?—mruknął Jerzy—i powtórzył mu mowę — a zgorączkowany Gucio chwycił za stojącą szklankę — napełnił ją szampanem, wychylił i ubrawszy się rzekł:

— Służę ci! idziemy!

Wychodząc Gucio stanął chwilę w progu i nagle poszepnął:

— Kto wie czy ta klasa wydziedziczona, nie jest szczęśliwszą od nas?..

— Zazdrościsz może losu jakiemu majstrowi o pucołowatéj fizognomii, który będzie fortunnym kochankiem Beaty stolarczanki?

— Jéj kochanek jest synem Wiśniowieckiego—książę z rodu—podobno wykształcony — ah! tak i ja mu zazdroszczę! gdybym nim był...

— I cóż?

— Klęczałbym u jéj stóp — i upajał się pocałunkami tych ust jak wyrzeźbionych z koralu!

— Biorąc rzeczy ściśle—póki masz ochotę do całusów, łatwo ją zadowolnić! ta lub owa —zawsze kobieta, byle młoda i ładna—niema żadnéj różnicy czy ona jest Ludka lub Beata!

— Jerzy!

— Guciu!— czy do białego dnia będziemy rozprawiali o tym romansowo ckliwym przedmiocie? chodź — albo żegnaj mi błędny rycerzu!

— Idę! — rzekł z westchnieniem Gucio.

— Przyznaj — że taki pogląd jak mój — jest najpraktyczniejszym w zastosowaniu! Naprzykład — mówił przez drogę Jerzy — gdybym twoje słowa brał na seryjo—mógłbym—jako przyszły szwagier, czuć się w imieniu méj siostry nieco dotknięty!—Nie bój się jednak! ani ja ani Eleonora, nie mogliśmy wymagać po tobie czynów bohaterskich i afektów strzelistych! — Nawet — jakieś szalone porywy, mogą być tylko zużytkowane dla podobnych miłostek — panna takiego urodzenia i stanowiska jak moja siostra hrabianka Eleonora—miałaby sobie za ubliżenie być kochaną przez swego narzeczonego, jak prosta gryzetka.—Rozumie to ona wybornie — i ręczę ci, że ją bardzo uśmieszy twoja awanturka — jednak muszę ci przypomnieć, że przepisów towarzyskich — lekceważyć nie można — i jeśli chcesz aby cię jutro cała nasza koteryja wyśmiała, to powtórz tylko jedno słówko z twoich teoryj, które ja, przez pobłażliwość dla przyszłego kuzyna, obiecuję zachować w sekrecie!

— Mocno obowiązany! — mruknął Gucio podając Jerzemu dwa palce — zadzwonił, bo już stali przed eleganckim mieszkaniem pani hrabiny Ruszczycowéj.

Salon do którego weszli—jaśniał tysiącem świateł, blaskiem ogromnych zwierciadeł, umiejętnym zbytkiem i wykwintem bez przesady. Zebranie było dość liczne—w téj chwili panowała przykładna cisza, bo jakaś znakomitość artystyczno-arystokratyczna, grała na fortepianie, wyprawiając na biednym instrumencie łamane sztuki — prawdziwe saltomortale—z nieustraszoną energiją. Słuchacze czuli się obowiązani milczyć.

Na kanapce, w półcieniu — niby niedbale rzucona i wsparta o poręcz — wpół leżała z głową przytuloną do poduszki — kobieta, któréj wieku trudno było oznaczyć. Na pąsowym tle obicia kanapy, rysował się jéj profil — klasyczny, regularny — starożytnéj piękności. Była ubrana w suknię czarną aksamitną — koronki stuliły jéj szyję i ręce — włosy ciemne, bujne—odczes ne od czoła—splecione w dwa wielkie warkocze opadały ogromnym węzłem na kark nieugiętéj sztywności. Koronkowa hiszpańska mantyla osłaniała je — nie zakrywając,— przytwierdzona koło lewego ucha obciążonego brylantami, białą różą, któréj sztuka paryska artystycznie naśladowała zwiędnienie. Twarz raczéj biała niż blada — miała wyraz zawistnéj dumy. Oczy niebieskie — troszkę podmalowane — miały blask polerowanéj stali—nosek mały—ale garbaty, rzymski usta pełne jeszcze lecz zaciśnięte — w całéj postawie jakieś znużenie namiętne — obok ukrytéj siły i stanowczości. Niemiała ona już powabu wiosny—nawet lato jéj minęło dawno — była to jesień — zachwycająca ostatniemi kwiaty wdzięków—czująca że chwile już krótkie, i pragnąca ich użyć z gwałtownością rozpaczy.

Może domyślny czytelnik poznał tę kobietę — jest nią pani Klementyna Ruszczyc — matka hrabiny Elodyi.

Skinieniem ręki powitała wchodzących, wskazując im miejsce niedaleko swojéj kanapki.

Męczeństwo fortepianu zakończyło się nareszcie — huczne oklaski zabrzmiały — osoba dla któréj były przeznaczone kiwnęła głową, aż wszystkie loki zadrgały konwulsyjnie — i przyjmując powitanie nowoprzybyłych, zbliżyła się śmiałym krokiem do kanapki.

Kilkanaście rąk przysunęło jéj fotel — siadła zamaszyście — i odetchnęła z głębi szerokiéj piersi.

Gdybyś—zacny czytelniku należąc do najwyższego towarzystwa, miał szczęście być jéj przedstawionym był byś ujrzał—wysoką, tęgą, co się zowie pannę — brunetkę, rysów męskich — z żywemi piwnemi oczyma—krzywiącą się straszliwie — z ogromnemi białemi zębami i szerokiemi usty — ubraną podług najdziwaczniejszéj a ostatniéj mody — hrabiankę Eleonorę.

— Gdzieżeście się tak zagapili dziś?—spy-

ła się ogromnie i powiększa się ciągle—mieszkań zaś ubyło raczej jak przybyło. Idą też ciągle w górę, a *góry* te na nieszczęście, ciążą szczególniej na barkach i tak już systematycznie obchudzanych bideuszów.

* * *

Jako dowód rozwoju naszego przemysłu i handlu posłużyć mogą następujące cyfry. Eskonta wexli Banku Polskiego w r. 1865 wynosiła 5,157,168, w r. 1866 rs. 6,399,466, w r. 1867 rs. 8,038,524, w r. 1868 rs. 8,358,524, w roku 1869 rs. 10,657,000, w roku 1870 rs. 9,968,239, (cokolwiek mniej niż w roku 1869, czego przyczyną była wojna francusko-pruska, bo każda wojna ujemnie działa na stosunki kredytowe), w roku 1871 rs. 12,387,843. Dodać do tego należy, że oprócz Banku Polskiego istnieją obecnie dwa banki prywatne: bank handlowy i bank dyskontowy, których przed 7 laty nie było, a które również zajmują się eskontowaniem wexli. Do takiego wzrostu naszych stosunków handlowych i przemysłowych przyczynia się głównie działalność przedsiębierców i kupców mojżeszowego wyznania, chociaż i ludność chrześcijańska bierze w tym wszystkim pewien udział. Życzyćby jednak należało, aby udział ten na tym polu coraz bardziej się powiększał.

* * *

Szanowny Redaktorze!

W otrzymanych numerach *Kaliszanina*, oddawna spostrzegać się dawała w korrekcie drukarskiej rażąca niestaranność, która w ostatnich już egzemplarzach doszła swego *crescendo*. Dowodzi to z jednej strony niedającego się niczym usprawiedliwić lekceważenia czytelników, z drugiej zaś pokrzywdzenia i poniewierania pracy autorskiej. Świeże tego przykłady znajduję w mojej monografii historycznej p. n. *Bractwo strzeleckie w Kaliszu*, drukującej się obecnie w odcinku Kaliszanina. W pierwszych dwu ciągach, jak zwykle, mnóstwo przepuszczono pomyłek; następne poprawiano staranniej; ale za to w N-rze 8, przewrót, poszarpanie i porozrzucanie okresów doszły do ostatnich granic.

Przy tak niesumiennym obchodzeniu się z poważniejszemi artykułami, wątpić należy, aby w usiłowaniach swoich Redakcyja Kaliszanina mogła prostodusznie liczyć na dobre chęci swoich współpracowników. Dla tego w interesie jej własnym i zarazem w obronie piszących stawając, śmiem was prosić Panie Redaktorze o zwrócenie uwagi Gazety Kaliszanin, iżby odtąd przynajmniej, nad drukarnią ściślejszy rozciągnęła nadzór. Przykro to bardzo, gdy rzecz obrobiona pracowicie i starannie, wychodzi w druku tak, iż jej ani autor poznać ani nikt z czytelników zrozumieć nie jest w stanie.

Przyjm Pan i t. d.
Cezar Biernacki.

* * *

Czwarty zeszyt Biblijoteki Filozofii Pozytywnej opóźni się, a to z tej przyczyny, że wyjdzie razem z 5 i 6 i tym sposobem seryja 1-a zostanie ukończoną jeszcze w b. m. Poczym natychmiast zachęceni powodzeniem 1-ej seryi przystępujemy do wydania znakomitego dzieła Taine'a: „O inteligencyi“, które w zupełnym przekładzie kosztować będzie przeszło cztery razy mniej niż francuskie wydanie, a mianowicie prenumeratorowie *Opiekuna, Niwy* i *Biblijoteki Prawnej*, otrzymują całe dzieła Taine'a w drugiej seryi za rs. 1 kop. 35, z przesyłką rs. 1 kop. 65. Nadsyłający rs. 2 będą mieli przewyżkę zaliczoną na dalszy ciąg wydawnictwa.

* * *

Przypominamy czytelnikom naszym, że w niedzielę d. 16 b. m. w sali Towarzystwa Dobroczynności między godz. 4 a 5 odbędzie się odczyt popularny Juljana Ochorowicza, dla rzemieślników: „*O tworzeniu się ziemi i o tym co na niej było przed tysiącami lat.*“ Cena biletu wejścia **kop. 5.**

tała barytonowym głosem Jerzego i Gucia, wywijając wachlarzem jak szpadą.

— Byliśmy w teatrze! odparł ten ostatni.

— A potym?..

— Potym!..

— Aha! może sekret jaki?

— Być może ciekawa siostrzyczko! rzekł Jerzy.

— No! no! — dowiem ja się! — ach zmordowana jestem — niech licho porwie tego Liszta! już go się wyprzysięgam na zawsze! — zawołała hrabianka Eleonora.

— Słusznie zrobisz ma cherè, bo działa na nerwy w sposób przerażający — odezwała się niskim — twardym — ale stłumionym głosem pani Ruszczyc.

— Ciekawam w jaki?

— Ja mam zawsze napad migreny — a ten biedny Gustaw wydaje się być przytłoczony do ziemi potęgą twych palców—rzekła z lekkim złośliwym uśmiechem, który roztworzył usta, nie dozwalając widzieć zębów, lub ruchu komicznéj spokojności rysów.

— A to i pewno że jestem silna! nie dałabym się tak łatwo pokonać, choćby w walce na pięście!

— Bardzo wierzę!

— N'est-ce pas?

Gustaw zagryzł wargi i heroicznie walcząc sam z sobą, usiadł obok swojéj przyszłéj narzeczonéj, usiłując zmienić temat rozmowy.

Jerzy tymczasem zajął gospodynią domu w pół cichą rozmową, która musiała być zajmująca, bo uniosła nieco głowę, i raz po raz dawała mu pytania. Towarzystwo się ożywiło — rozruszało — hrabianka Eleonora zabawiona mową Gucia, śmiała się, aż stanik groził pęknięciem — pani Ruszczyc ciągle mówiła z Jerzym — wreszcie podała mu rękę i rzekła półgłosem.

— Dziękuję panu! jesteś pan w istocie opiekuńczym bóstwem Gustawa.

— Pani! już jestem zbytecznie wynagrodzony! — rzekł biorąc jéj różowe paluszki trochę poufale.

Uśmiechnęła się. — Zabaw pan towarzystwo — ja muszę pomówić z Gustawem.

— Czy koniecznie? — powiedział — wejrzeniem dając jéj poznać ile mu miła teraźniejsza chwila.

Zimny wzrok pięknéj pani wyraźnie mu wskazał co ma czynić — powstał i zbliżył się do najwięcéj milczącéj grupy — jako wprawny salonowiec znał sztukę bawienia najbardziéj niezabawnych ludzi — za chwilę wszyscy byli zajęci jego opowiadaniem — powiedział im jakiś sekrecik skandaliczny — wszystkie głowy były ku niemu nachylone z ciekawością. *(D. c. n.)*

O PRZYZWYCZAJANIU DZIECI DO PRACY.

Czteroletni mój znajomy Władzio, który ma jeszcze młodszego braciszka, słysząc niedawno matkę mówiącą, że „ma dziś wiele do roboty”, zapytał: „Dlaczego to i mama i tata zawsze mają coś do roboty, tylko ja i Kazio nic nie robimy? Ja przecież codzień mamy się pytam: co teraz robić? — a mama żadnej roboty mi nie daje”.

Nie jedna matka może słyszy podobne pytania od swego dziecka, każdéj brzmią w uszach natrętne czasem choć i dla kochającej matki wyrazy „co teraz robić?”, dla zaspokojenia których wypróżnia się często i tak nie bardzo pełną kieszeń i zakupuje dzieciom coraz nowych zabawek, byle miały zajęcie, byle nie pytały się: „co robić?”

A jednak, jakże miło powinno być dla każdéj matki posłyszeć piérwszy raz głos aki od swego dziecka! Dziecię jej, choć nie rozumie całej donisłości tego co mówi, jednak poczuło się już człowiekiem, chce należeć do społeczeństwa ludzkiego, — prosi o pracę. Nie dosyć już dla niego zabawek, chce pracować jak ojciec i matka, jak wszyscy ludzie.

I jakież to szczęście, młoda matko, że twój syn domaga się pracy! Wszak praca, to warunek jego cnoty i szczęścia. Czegóż więcej rodzice życzą dzieciom swoim, do czegóż więcej zmierzają wszystkie starania przy wychowaniu? Do nadania wychowańcom *cnoty*, która ich zrobi godnymi członkami społeczeństwa i ludzkości — do zapewnienia im osobistego *szczęścia*. Jedno i drugie da im praca.

Dziecię lubiące stosowne do wieku swego zajęcia nie będzie miało czasu ani sposobności nabrać wad różnych i złych nałogów, które później tak trudno wykorzenić—młodzieniec miłujący pewną, obraną przez siebie pracę, głuchym pozostanie na zdradliwe zepsutych podszepty, mniej łatwo ulegnie niebezpiecznym pokusom świata i młodości. Bo taż sama praca otworzy mu nieprzebrane źródło szczęścia: czy to gdy fizyczna, wzmacniając jego muskuły, utrwalając zdrowie, czyniąc go zdatniejszym do używania i działania; czy to gdy naukowa, odkrywając przed nim nowe światy, pełniejsze cudów, niż bajki piastunek; czy nareszcie którakolwiek z nich, w moralnym celu podjęta, dla dobra współbliźnich spełniana, — uszczęśliwiająca świadectwem sumienia i błogiemi owocami które wyda.

Zgadzają się też prawie wszyscy, że wzbudzić w wychowańcu zamiłowanie pracy, jest to dopełnić jednego z najważniejszych warunków dobrego wychowania.

Daleka to jednak droga, od pierwszej prośby dziecka o pracę—do jej zamiłowania i rodzice małego Władzia muszą wiele starań dołożyć, nim można będzie powiedzieć że ich syn lubi i umie pełnić tę pracę, o którą dziś tak naiwnie się dopomina. Nim dzieci zaczną zbierać słodkie owoce pracy, musimy je przyzwyczaić do tego, co ona ma w sobie przykrego i ciężkiego,—a mianowicie do *przymusu*. Bo też jaka jest różnica między pracą i zabawą dla dzieci? Ta właśnie, że praca jest przymusową. Wszelka inna czynność, którą dzieci samowolnie rozpoczynają i którą mogą niedokończoną porzucić, niepowinnaby zasługiwać na zaszczytne nazwisko pracy. Praca, wybrana stosunkowo do wieku dzieci, może być bardzo lekką i łatwą, zabawa zaś, jak np. gra w piłkę lub inne podobne, może być nieraz utrudzającą, niemniej jednak piérwsza jest pracą a druga zabawą; —pierwszą podejmują dzieci z obowiązkiem jej wykończenia, — w drugiej mają zupełną swobodę, mogą ją porzucić według woli i ochoty. Właśnie więc o to idzie żeby przyzwyczaić dzieci do zadawania sobie samym małego przymusu, do wytrwania w tym co rozpoczną do końca, za co wynagrodzeniem być im powinna pochwała rodziców, uczucie zaszczytne, które w nie wpajać należy, że się już do czegoś przydadzą, a nakoniec milsza zwykle po przymusie — wolność, po pracy — zabawa.

Chcąc jednak nie zrazić dzieci, trzeba ich do tego bardzo stopniowo przyzwyczajać. Praca ich drobna i lekka mało powinna różnić się od zabawy; pilnować tylko należy aby ją koniecznie wypełniały dokładnie i doprowadzały do końca. Przemyślne i znające dzieci swe matki, znajdą łatwo dla nich mnóstwo stosownych drobnych zatrudnień, za pomocą których wdrożą je do pracy.

Ale i tu są pewne względy, na które mieć uwagę należy. Wytłumaczę się jaśniej przykładami. Matka Władzia, którą tu nazwę panią Z., czyniąc zadość prośbie swych dzieci, zaczęła im zadawać codzień pewne zajęcia, dawała im potrzebne w domu na lekarstwo żołędzie do obierania, kawę do mielenia, kiedy biegali po dziedzińcu kazała im przynosić po polanku drewek do kuchni i tym podobne wymyślała im zatrudnienia, naznaczając, stosownie do możności, wiele zrobić mają. Sąsiadka jej, pani W. chciała ją także naśladować, ale jej celem było za pomocą zatrudnienia danego dzieciom swawolnym, uspokoić je i uwolnić się od ich pilnowania. Dała im więc fasoli do łuszczenia a sama zajęła się czym innym. Przez chwilę nowość zajęła dzieci, ale w krótce swawola i krzyki dały się słyszeć tak dobrze jak co dzień, fasolę porozsypywały, a co najgorsza ponatykały sobie w noski i uszy i gdyby nie prędki ratunek, mogłoby stąd coś bardzo złego wyniknąć. Inna matka, zbyt utylitarną dążnością przejęta, chciała jeszcze korzystać dla domu i gospodarstwa z pracy dziecinnej, a rozgniewana że się to nie udaje, że zajęcie dzieci nie uwalnia od pilnowania ich i bardzo mało zajęcie sług zastępuje, porzuciła te próby i wolała żeby jej dzieci swywoliły i bawiły się tylko.

Wszelkie rady o wychowaniu stosują się tylko do rodziców, mogących i chcących pilnować dzieci i mieć na nie ciągle baczne oko; pilnować nie dla tego aby je moralizować ciągle, aby każdym poruszeniem ich kierować i przeszkadzać samodzielnemu ich rozwinięciu, ale dla tego, aby je znać lepiej, wiedzieć co na nie wpływało, jak się rozwijały i umieć w razie potrzeby stosownie do nich przemówić i odpowiednio z nimi postąpić.

Praca powinna być zadawana dzieciom wcale nie w tym celu, aby uwolnić wychowujących je od pilnowania. Owszem koniecznie potrzeba, w początkach szczególniej aby dzieci miały zajęcie o ile możności pod okiem matki, aby ona im ułatwiała niektóre trudności, zachęcała do przezwyciężenia innych, aby czasem i wspólnie z nimi pracowała póki nie nabędą dobrego nałogu i wprawy, póki nie wdrożą się do pełnienia dokładnie codziennego swego obowiązku. Niezliczone są korzyści jakie ta dziecinna przygotowawcza praca przynieść może. Już sam przymus, który sobie dziecko zadaje odbiegając codzień w danej godzinie choćby od miłej zabawy dla pełnienia obowiązku — to pierwszy krok w ważnej nauce panowania nad sobą, powściągania swych namiętności, tak konieczne w życiu. Dokładność, akuratność, wytrwałość, których nabędą zawczasu w małych zajęciach, zachowywać będą później i w ważniejszych, — a są to przymioty dość u nas rzadkie a pożądane. Kiedy potym nadejdzie pora książkowej nauki, to nie będzie dla dzieci przykrą; bo będzie tylko zmienionym rodzajem pracy, do którego łatwo się przyzwyczają.

Dla dzieci które tylko bawić się umieją, wymyślają sposoby, aby z nauki zabawę zrobić; nie zdaje mi się jednak aby to było lepszym od porządnego uczenia się. Nieraz już robiono tę uwagę że nie zawsze dobrym okazuje się w skutkach, mieszanie nauki z zabawą i zabawy z nauką. Dziecko, które wabią do nauki obiecując mu że coś bardzo ładnego i ciekawego się dowie, zwykle biegnie doń z ochotą, ale potym przy nauce nieraz ziewać zaczyna, skoro tylko obok szczegółów bawiących, przyjdzie mu trochę zastanowić się nad czymś trudniejszym. Jeśli zaś wołamy je nie do zabawy lecz do lekcyj, dziecię nie obiecuje sobie że bawić się będzie, a wszelka przyjemność w czasie lekcyi doznana jest już niespodzianką i wzbudza w nim ochotę do nauki. Przytym, może stąd wyniknąć takie następstwo, że wychowaniec bawiony, w całym życiu szukać będzie jedynie zabawy; — a byłby to bardzo smutny rezultat wychowania! Jednym też z najważniejszych warunków przy zadawaniu dzieciom roboty, jest mieć wzgląd na ich zdrowie. Nawet ta-

kie zajęcie jak łuszczenie fasoli mogłoby być szkodliwym, gdyby dzieci siedziały nad nim zgarbione całemi godzinami, a do tego w miejscu nie przewietrzanym lub wilgotnym.

Widziałam skrofuliczne dzieci, które z temperamentu swego nie lubiąc się ruszać, nabierały nałogu ślęczenia nad książką lub robotą jaką bez przerwy; a zaślepieni rodzice cieszyli się że mają dzieci tak spokojne i grzeczne — potym wyrastały z nich niedołęgi tak fizyczne jak umysłowe. A cóż dopiero mówić o większej części zakładów naukowych? Tam zwykle najlepsze noty z postępowania miewa malec, który mało biega i mało się rusza, a siedząc skurczony przy swoim stołku po dniach całych—dozorcom jak najmniej zadaje kłopotu. Bywają zapewne nauczyciele i dozorcy pojmujący ważne cele wychowania, trzeba się spodziewać że coraz ich więcej będzie, lecz że nie jest tak jeszcze w ogólności, to rzecz pewna.

Z doświadczeń różnych wnoszę że dzieci maleńkie, od trzech i czterech lat, nie powinny z początku dłużej nad kwandrans siedzieć nad żadnym zajęciem, chociaż powtarzać to można dwa lub trzy razy w ciągu dnia. W miarę przyzwyczajenia i wzrostu można powiększać czas pracy siedzącej, nigdy jednakże nie pozwoliłabym dzieciom rosnącym, siedzieć na miejscu bez przerwy dłużej jak godzinę.

W zajęciach ruchliwych, odbywanych na świeżym powietrzu są znowu do zachowania warunki stosownego ubioru, uwaga na porę, pogodę i stopień zahartowania dziecka, czego zwykle rozsądniejsze matki dość ściśle pilnują.

F. K.

NIEZAJĘTA POZYCYJA.

(Wspomnienie z przeszłości i projekt na przyszłość).

Przed kilku laty, w pewien wieczór karnawałowy, znalazłem się wobec płótna imitującego kurtynę, zdziwiony tym co widzę, a bardziej jeszcze ciekawy tego co zobaczę. Rzecz bowiem działa się nie w teatrze i nie w cyrku, nie w gabinecie(!) kuglarza i nie w salonie(!!) akrobaty, nigdzie słowem, kędyby obecność kurtyny usprawiedliwić było można. Rzecz działa się poprostu—w *bawaryi.*

Nie wszyscy wiedzą, czym jest bawaryja dla warszawskiego rzemieślnika. Nie wszyscy wiedzą, że zostawia on w niéj często zarobek całego tygodnia, a zawsze tego zarobku połowę. Robi zaś to, szukając wesołości i śmiechu: wesołości choćby sztucznéj, śmiechu choćby pijanego. Dwie te rzeczy tak są człowiekowi potrzebne! Tak potrzebne są temu zwłaszcza, który przez sześć dni, po kilkanaście godzin codzienie siedzi zgięty na zydlu, lub wyprostowany przy warsztacie, i nic nie słyszy, prócz sztuku młotów i zgrzytania kół maszynowych. Cóż dziwnego, że taki bierze rozrywkę pierwszą, jaką mu podsuną? Cóż dziwnego, że zamiast wesołości prawdziwéj i zacnéj, chwyta jéj marę, rozwiewającą mu się w rękach jak senne widziadło? Pierwszéj, dziś jeszcze szukałby napróżno; druga stoi mu wciąż przed oczami i po tysiąc razy zwiedzionego, po tysiąc razy ciągnie w objęcia.

Można się smucić, ale dziwić się nie można. Wymagać od rzemieślnika, żeby jednego wieczora w tygodniu nie poświęcił na rozrywkę, znaczy wymagać od niego rzeczy niepodobnéj. Pragnąc zaś, żeby się bawił szlachetnie, należy mu szlachetną zabawę przygotować. A téj właśnie brakuje mu dotąd. Alfą i omegą jego dzisiejszych rozrywek jest zalewanie się piwem w bawaryi i probowanie szczęścia w karmelkową loteryją.

Rozrywka jest motorem uznanym przez ekonomistów. Robotnik czerpie z niéj nowe siły do pracy. Broni go ona od smutku i ponurych rozmyślań wiodących wprost do upadku, i daje mu zarazem zdrowie duszy, tak ściśle ze zdrowiem ciała związane. Co więcéj, jeśli jest umiejętnie obmyślana uczy go i uszlachetnia.

Nie przeczę że czytanie biblii będące w zwyczaju u robotniczych rodzin w Anglii posiada swoje zalety. Nie przeczę, że popularne lekcyje dla ludności pracującéj posiadają wielką doniosłość, jako apostołujące oświatę. Ale prócz morału i nauki, człowiekowi znojnie pracującemu potrzeba czegoś jeszcze. Potrzeba śmiechu—i to śmiechu głośnego, śmiechu do rozpuku.

Otóż owego wieczora w bawaryi zwanéj jeśli dobrze pomnę „Pod żelaznym mostem" śmiano się jak można najgłośniéj. Panował tam gwar iście jarmarczny. Przy stołach i stolikach siedzieli starzy, młodzi, kobiety nawet. W jednym zakątku sali umieściła się rodzina rzemieślnika w pełnym komplecie: więc mąż w kraciastym halsztuku, z wąsami jak szczoteczka i z miną świąteczną, więc żona w kapeluszu przypominającym mały ogródek, więc żony jakaś kuzynka blada i wywiędła, więc nareszcie dwu pucułowatych malców, z których jeden z dziwną wytrwałością przez cały wieczór z ust palca nie wyjmował.

Spojrzenia wszystkich zwrócone były w stronę tajemniczego płótna. Rozmawiano tylko o nim. Na wszystkich twarzach malowała się wewnętrzna uciecha i niecierpliwość. Nawet kufle z piwem stały pełne i nienapoczęte, tak dalece uwaga biesiadników zaprzątnięta była czym innym.

Tymczasem gości przybywało coraz więcéj. Zabrakło stołków, więc siadano na stołach, poręczach, na ławach wyciągniętych gdzieś z kąta. Było tłumno i hałaśliwie. Gaz syczał paląc się jaskrawo. Każdy poczuwał się do obowiązku powiedzenia czegoś dowcipnego, a wszelki dowcip przyjmowany był przez całe zebranie potężnym wybuchem śmiechu.

Niejeden z tych śmiejących się ze strachem myślał o izbie którą opuścił, o swoim mieszkaniu zimnym, ciemnym, ponurym—i drżał na wspomnienie—i cieszył się że mu tymczasem ciepło, widno i wesoło...

Przed płótnem zjawili się muzykańci, i niebawem do zgiełku już panującego, przybył nowy hałas bębna i trąby. Ustał jednak wprędce i otóż przy najwyższym skupieniu uwagi wszystkich zebranych, owo płótno tajemnicze do góry się podniosło...

Jednocześnie na sali zrobiła się cisza. Był to hołd oddany sztuce. Nie ulegało już bowiem wątpliwości, że za płótnem znajduje się przybytek poświęcony Talii. Poprostu, gospodarz zakładu, w celu polepszenia interesów, wpadł na pomysł urządzenia u siebie „Komedyi" i zebrawszy kilku wałęsających się po świecie aktorów przygotował całą tę niespodziankę.

Nie będę opisywał tego, co się działo na scenie. Grano tam naturalnie jakąś sztukę bez wyboru, pozbawioną sensu i poczciwéj tendencyi, grano ją bez żadnego artyzmu i plastyki — a jednak dusze widzów z zadziwiającą subtelnością pojmowały niedomówione nawet myśli, i wierzyły naiwnie fałszywym nawet sytuacyjom. Spojrzałem na twarze — rozpromienione były i zmieniały się ustawicznie jak obrazki kalejdoskopu. Wrażenia przyjmowane przez duszę, czytałem z nich jak z karty. A wrażenia te były silne i wrzynały się głęboko w serca i umysły.

Zamyśliłem się nad wrażliwością tych prostych, dziewiczych rzec można organizacyj. Przyszło mi na pamięć zdanie jednego z francuskich estetyków, który utrzymuje, że gdyby przedstawiano kiedykolwiek „Sen letniéj nocy" „Zimową powieść" i inne fantastyczne dramata Szekspira, to ich poezyją i symbolikę najłatwiéj pojęliby maluczcy. I przyszedłem jednocześnie do wniosku, że ta subtelność wrażeń i ta wiara w złudzenia sztuki jest nader ważnym czynnikiem, którego żaden z apostołów nowych idei spuszczać z oczu nie ma; że owszem, zużytkowanie go za rzecz dla siebie niezbędną uważać powinien....

Tak myślałem, a tymczasem sztuka zbliżała się ku końcowi. W miarę rozwiązywania się intrygi rozwiązywały się i usta. Cisza panująca z początku ustępowała miejsca najprzód przytłumionemu gwarowi, a następnie krzykom eutuzjastycznym. Już mój sąsiad oburzony niecnemi sprawy „czarnego charakteru" odgrażał się, że go zamaluje kuflem. Już łzy ciekły po tłustych policzkach pani Jacentowéj rzeźniczki z Podwala, podczas gdy jéj kuma zaciskała pięście z gniewu i wzruszenia. Już hałas wzmagał się tak, że groził zagłuszeniem aktorów.

Nareszcie.... cnota zwyciężyła i płótno, imitujące kortynę tryumfalnie opadło.

Teraz przyszła koléj na krytykę. Wśród oklasków i tupania nogami poczęło się wywoływanie aktorów. Zauważyłem, że widzowie w swych sądach nie powodowali się bynajmniéj względami na artystyczne zdolności grających. Nie dobry aktor, lecz dobry charakter zyskiwał ich sympatyją i pochwały. Nikt z przedstawiających na scenie zbrodniarza, intryganta, egoistę, nie dostał oklasku. Za to, cierpiącą niewinność, sierota krzywdzona przez opiekuna i tym podobne ofiary losu, obficie podczas antraktu zalewały się piwem, przez mecenasów sztuki fundowanym.

Dawizon jako Franciszek Moor, Królikowski jako stary Mauprat, w obec takich widzów napróżno ubiegaliby się o wawrzyny.

Między ludnością pracującą, ludnością o prostych umysłach i sercach otwartych na wrażenia, przechowuje się w pierwotnéj czystości pojęcie o złym i dobrym. Ludność ta nie analizując życia filozoficznie i nie uznając w nim żadnych stopni pośrednich, wszystkie postępki człowieka zamyka w dwu tylko cyklach: cnoty i występku. Podług niéj także: cnota to piękno, występek to brzydota. Wszelkie półcienie i półświatła obce są dla niéj, zna tylko dzień i noc, Boga i szatana.

Po dość długim antrakcie, kurtyna znowu się podniosła. Teraz miejsce szalonéj muzy dramatu, zajął Momus. Na scenę wystąpiło dwu niemców, z których jeden był maleńki o potężnym brzuchu i nosie podobnym do kartofla, a drugi wysoki i cienki na komarzych nogach i z nosem spiczastym jak dziób bociana. Obydwa mieli na sobie fraki i trójkątne kapelusze, to jest kostjum, w jaki lud nasz ubierać zwykł djabła.

Zjawienie się niemców wywołało homeryczny wybuch śmiechu.

— Derdydasy! szwaby! kartoflarze!—krzyczano z jednego końca sali w drugi.

Zaraz też wyszła na wierzch niechęć antyplemienna.

— Obejdzie się bez was, ruszajcie do swojego *landu!*

— Gdzie pieprz rośnie!

— Na złamanie karku!

— Nam nie trzeba kolonistów, mamy ziemię to dla siebie!

— Precz pantoflarze!

— Precz dajczery!

Tak wykrzykiwali widze, a tymczasem aktorzy poczęli śpiewać łamanym językiem i z błazeńską giestykulacyją sławny kuplet:

Tańcowala dwa szwaba,
Miala dluga harcaba....
etc.

Po każdéj strofie następował w guście illustracyj taniec, wykonywany na tempo walca

z coraz odmiennemi figurami. Taniec ten był w swoim rodzaju arcydziełem.

Kiedy publiczność dość już się ubawiła kosztem pociesznych synów Giermanii, zeszli oni ze sceny wśród gwizdania i sykania, obrzucani kartoflami, w które zaopatrzyła się młodsza generacyja widzów.

Po chwili zjawiła się na scenie „warszawska kumoszka." Miała na głowie kapelusz przekrzywiony zawadjacko, a w ręku flaszkę pełną wódki. Typowa jéj mina wyrażała spryt i pewną dozę praktycznéj filozofii. Przywitano ją salwą oklasków.

Piosneczka kumoszki była anakreontykiem. Oto jedna jéj strofka którejby się nie powstydził Horacy:

Nie żałujmy sobie,
Pijmy chociaż bieda!
Bo nam nikt już w grobie
Gorzałeczki nie da!

Piosneczka ta, w któréj wszystkie troski życia z lekceważeniem są traktowane i w któréj człowiek z jakąś staroszlachecką butą stawia czoło niepowodzeniom, wywołała między zebranemi zapał nie opisany. Pokrzepiła słabych, wyprostowała zgiętych, upadającym dała wiarę i nadzieję. Wszyscy poczuli w piersiach zasób sił nowych i roześmiali się trzeźwiéj, szczerzéj....

Zakończył całe to widowisko mazur, odtańczony ogniście przy brzęku podkówek, przy szeleście fruwających spódniczek, przy miganiu pawich piórek na czapkach i czerwonych wstąg w warkoczach.

Niebawem, widzowie rozeszli się—ubawieni, weseli, z myślami pobudzonemi przez wrażenia do pracy wewnętrznéj, intelektualnéj...

Kiedy w jakiś czas później zaszedłem w to samo miejsce, teatrzyku już nie było. Gospodarz zapytany o przyczynę splunął i rzekł:

— Te komedyje to się psu na budę nie zdały. Bo to proszę pana, kiedy goście zagapią się na te różne dziwolągi, to i nie piją i nie jedzą, tylko oczy wytrzeszczą i śmieją się albo beczą, a gospodarzowi nic utargować nie dadzą. Straty miałem! jak Boga kocham straty!

Zadziwiła mnie ta wiadomość. Pomyślałem jednocześnie, że to, co jest stratą dla gospodarza bawaryi, może być zyskiem dla społeczeństwa....

Od opisanego wieczoru upłynęło, jak już wspomniałem lat kilka. Przez ten przeciąg czasu pomysł gospodarza „z pod Żelaznego mostu" nie znalazł naśladowcy.

Właściciele innych bawaryj, świadomi losu kolegi, złowróżbnéj tak nowości lękali się jak ognia. Co gorzéj, wszelkie w tym kierunku usiłowania starali się niweczyć. Tym jednak eksploatatorom apetytu i pragnienia wiele można wybaczyć. Dla nich największa możliwie ilość wypitego w ich zakładzie piwa i zjedzonych buttersznitów jest ideałem życia. Daléj nie sięgają.

Ale, czyż brakuje nam ludzi inaczéj myślących? ludzi, których zmniejszenie się w kraju konsumpcyi trunków nie smutkiem lecz radością napełnia? Czyż brakuje nam ludzi, którzy nie wyzyskiwanie lecz dobrobyt pracującéj ludności za cel życia uważają? ludzi poświęcających wszystkie skarby wiedzy i miłości dla dobra swych mniéj światłych braci?

Takim to ludziom przypominam dzisiaj, że istnieje niezajęta pozycyja na drodze, którą postępuje bojujący zastęp oświaty.

Pozycyją tą jest—*scena ludowa.*

Zając ją potrzeba jak najspieszniéj. Owo dziwaczne, „spectaclum" w bawaryi, jakkolwiek pełne niedostatków i fałszywych tendencyj, dowodnie przekonywa, że dla dobrych chęci przygotowany już jest grunt jak najprzyjaźniejszy.

Idzie o publiczność? Istnieje, i to taka o jaką każdy autor i każdy dyrektor teatru sto razy na dzień pana Boga proszą. Idzie o miejsce? W zakładach podobnych temu jaki opisałem, znajdują się wielkie sale, jakby przeznaczone do widowisk teatralnych. Idzie o aktorów? Kilkudziesięciu oblega drzwi każdéj dyrekcyj.

— Więc istnieje wszystko czego potrzeba?

— Oh, bynajmniéj! Brakuje rzeczy najważniejszéj...

— Jakiejże?

— Repertuaru.

Brakuje go dzisiaj—nie znaczy to jednak, żeby go miało braknąć w przyszłości. Na początek można wybrać coś z rzecy istniejących a potym, wedle zasady ekonomicznéj, potrzeba wywoła namysł, a namysł środki.

Niewątpliwie Jan Nepomucen Kamiński, Fredro ojciec, Korzeniowski, wreszcie Wł. L. Anczyc dla sceny ludowéj dostarczyć mogą sporo materyjału. Ci jednak (z wyjątkiem ostatniego) jako ludzie nie naszéj epoki, mało pojmujący wymagania chwili, nie wypełnią w żadnym razie zadania wywołanego przez dzisiejsze warunki. Do tego potrzeba sił nowych, sił które —wierzymy w to mocno—nie dziś to jutro się znajdą.

Zakończę mój artykuł tym, od czego klasyczne poematy zaczynały się, zwykle, mianowicie—inwokacyją.

A zatém:

Wy, którzy wzlatując na niebosiężne szczyty dramatu doznaliście losu Ikara i pełzacie teraz z odtrąconemi skrzydłami wątpiący i smutni!

Wy, którzy doznawszy niepowodzenia na lwowskim lub krakowskim konkursie przeklinacie Eschylesa, Calderona, Szekspira i wszystkich dramaturgów przeszłości!

Wy, którzy *popełniwszy* piędziesiąt komedyj, żadnéj nie oglądacie na scenie!

Wy nareszcie, których mózg wiecznie zapłodniony projektami wzniosłemi nigdy ich urodzić nie może!

Wy wszyscy! na wielkiéj loteryi sławy i nieśmiertelności raz jeszcze sprobujcie szczęścia...

Piszcie dla sceny ludowéj.

Może być, że doznawszy niepowodzenia w podniebnych sferach, kędy tylko orły krążą swobodnie, szczęśliwsi będziecie zestąpiwszy niżéj... Może idąc nowym szlakiem, niespodzianie odkryjecie w sobie zdolność rzecz piękną, lub talent, rzecz piękniejszą jeszcze. Probujcie! Praca na tym polu tak łatwa! Potrzeba do niéj dwu tylko rzeczy. Potrzeba *znać* i *kochać* tych, dla których się pisze—ot tak naprzykład, jak ich znał i kochał Béranger.

Probujcie! wszak i po téj drodze można dojść *ad astra.* *Wiktor Gomulicki.*



Pierwsze wieki historyi polskiej, przez *Adama Mickiewicza,* dzieło pośmiertne 1872 r.

(Dokończenie).

Mickiewicz na polu historyi, widocznie, z żywiołu sobie rodzinnego, z żywiołu poezyi nie wychodzi. Stąd też zna wiele, umie znakomitemi rysami wyszczególniać swe *à priori* pojęcia, owszem gotów jest niekiedy wątpliwości roztrzygać bezwzględnie. Łatwo przypuścić, iż przy téj metodzie, samochcąc potknie się nie raz, i w jednym orzeczeniu postawi się sprzecznie naprzeciw drugiego. Takim jest np. szlak jego świetlany, jakim prowadzi swych Azów, swój wędrowny lechizm; późniéj nieskończenie wybujały sarmacki albo szlachecki pierwiastek. Wytknąwszy go w jednym miejscu przez Kaukaz, na lewo ku Karpatom, na prawo ku Skandynawii, w drugim bezwiednie brata się z myślą z dotychczasowemi przewodnikami historycznemi, albowiem każe tymże praojcom naszym przebywać cieśninę morską, oddzielającą Europę od Azyi mniejszej, i po mistrzowsku, z nad Dunaju rozsyła ich na zachód, aż ku najgłębszej północy. Ileżby prócz tego szczegółów innych takiej dwuwykładności wskazać w nim można... Oto powszednim dość np. błędem, opisując dzieło zniszczenia Kijowa pod najściem Bolesława Chrobrego, świecić mu dozwala blaskiem wielkiej tęgości, w 50 lat potém (za Bolesława Śmiałego).

Na wszystkie wprawdzie podobne usterki, słuszną jest dlań obroną, że sam był najlepiéj przekonany, ile jeszcze brakowało jego pracy, ażeby się mogła uważać za wykończoną w jakimkolwiek przybliżeniu. Widzimy w niéj zakreślone rozliczne miejsca nawiasami, na znak, iż przerobić je albo nawet zmienić całkowicie postanowił. Widzimy też, że wydawca pisma z tym się nie tai. Ze swej strony objaśnia w czym może.

Zwracamy atoli uwagę szczególną na mnogie zarysy charakterystyczne, tyczące się wybadania myśli pierwszych założycieli państwa. Potrzebaż lepszego dowodu, nad to, co powiada o wadach systematu Chrobrowskiego, iż badał ściśle, badał sumiennie? Jakoż pojęcia swe rozwija przekonywająco i może być pewnym nie raz uznania przez badaczy, dozwalających najmniej lotu fantazyi, przez sędziów wyprowadzających swe wnioski z litery kroniki i ze szczątku zwalonych pomników. Wczytawszy się w ciąg rzeczy, można w nim widzieć nieugiętą pewność. Nie pytał się, skąd mu ta pewność płynęła do duszy, a prawie powiedzieć by można, że jak dla swej szkoły w poezyi stawił maksymę: „miej serce i patrzaj w serce," tak na zaimprowizowanym ubocznym polu historycznym, snadnie by znowu założył: „wierz sam, jeżeli chcesz, ażeby tobie wierzono."

Koniec końcem urywek ten, potrzebujący wiele do uzupełnienia, słusznie zaważy nieraz na szali dorobków naszej pamięci dziejowej. A dodajmy, że nie indywidualność główne czynną jest w jego pracy—usuniemy ją, przy tylu promieniach, jasnych rzuconych na rzecz dziejową, dobrowolnie na plan drugi. Cenimy przedewszystkim świeżość myśli, przez którą rozumiemy jej niepodzielność z innemi—tej to wszakże pożądać tak dalece można, w obec przepisywaczów szkolnych, w obec długiego szeregu opowiadaczów z danych wiadomych a bez żadnego światła przewodniego, bez krytyki przenikającej do istoty wszelkich założeń historycznych.

Zygm. Komarnicki.

Życie i obyczaje zwierząt według Brehma i innych najnowszych źródeł, zebrał *Wincenty Niewiadomski.* Z czterdziestu rycinami (na tonie) i licznemi drzeworytami w tekście. (Tom in 4-o str. 344, nakładem Gebethnera i Wolffa 1873 r. Cena rs. 3 kop. 60).

Jeżeli ważnemi i zajmującemi są badania różnorodnych kształtów królestwa zwierzęcego, to daleko więcej budzą interesu studyja nad objawami życia i obyczajami zwierząt. Od pewnego czasu, uczeni prawie całego świata, skwapliwie notują najdrobniejsze nawet szczegóły, odnoszące się do strony bijologicznej zwierząt, dążąc do wyprowadzenia ogólniejszych wniosków. Dlatego z przyjemnością przychodzi nam witać „Życie i obyczaje zwierząt" jako dzieło obszer-

niejsze, zbogacające w tym kierunku, naszę popularno-naukową literaturę.

Po krótkim wstępie, zatytułowanym „Przyroda i jej trzy królestwa“, autor kolejno opisuje w tym dziele, gromady zwierząt Ssących, Ptaków, Płazów i Ryb, oraz dział organizmów niższych i świat mikroskopowy. Opis gromady zwierząt ssących, zaczyna autor od ogólnej charakterystyki, przechodzi następnie do pojedyńczych rzędów, z których najobszerniej opisuje rzęd *czwororękich*, przytaczając ciekawe fakta z życia bardzo wielu małp starego lądu, nowego lądu, małp pazurowych, fałszywych, jako też z rękonogich i skóroskrzydłych. Również obszernie są traktowane dwa następne rzędy *rękoskrzydłych* i *drapieżnych*, oraz *przeżuwających* i *gruboskórnych*, tutaj bowiem autor, nie szczędził także pojedyńczych przykładów. Inaczej się rzecz ma, z Workowatemi, Szczurowatemi, Bezzębnemi, Jednokopytowemi, Płetwonogiemi i Wielorybami, których zaledwie streszczenie, autor podaje. W ogóle jednak, gromada zw. ssących jest najobszerniej traktowana. W daleko ciaśniejszych granicach zamyka się opis gromady ptaków, gdzie po krótkim wstępie, przechodzi autor do rzędu ptaków drapieżnych i zastanawia się obszerniej nad Orłem, Kondorem, Sekretarzem i Puchaczem, dalej przebiega rzędy grzebiących, łażących, biegających, jak również brodzących, pływających, gołębi i ptaków śpiewnych i krzykliwych.

Gromada Płazów (Amphibia), zaczyna się nader krótką charakterystyką, następnie idą rzędy: 1) *Wężów*, z opisem szczegółowszym Boa, Pytona, Żmii, Grzechotnika, Okularnika i Sercogłowa; 2) *Jaszczurek* z obszerniejszym opisem Krokodyla, i pokrótce Bazyliszka, Legwana, Smoka i Kameleona; 3) *Żółwiów i skrzeków*, z których żaby, żabki drzewne, ropuchy, grzbietoród, salamandra i tryton, są opisane. *W gromadzie Ryb* spotykamy się z opisem ogólnej organizacyi Ryb,— dalej z rybami chrząstkowatemi, z których są podane: Minóg, Raja, Drętwa elektryczna, Rekin, Młot morski, Piła i Jesiotr. Z ryb *kościstych* opisani są przedstawiciele zrosłoszczękowych i wąskostrzelnych pokrótce,— Miękkopłetwych i Cierniopłetwych dość obszernie.

W rozdziale zatytułowanym: *„Organizmy niższe i świat mikroskopowy“* znajdujemy krótką charakterystykę budowy zwierząt *Stawowatych* i tak zwanych przez autora *Brzuchowców*; dalej podana jest organizacyja *owadów*, szczegółowy opis zmyślności *Grobarza* (Necrophorus). Następnie autor przechodzi do Pająków, zatrzymują się nad Ptasznikiem, Zdunkiem i Topnikiem; wraca znów do owadów trapiących człowieka, i poświęca im kilkanaście wierszy; w dalszym ciągu opisuje Świerzbacza, Solitera, Jeżogłowca *v.* bąblowca. Spotykamy się dalej z *pasożytem krwi* (bez nazwiska), z *wymoczkami*, *Koralem czerwonym*, hidrą, gwiazdami morskiemi, meduzami, aż nareszcie Otwornice *v.* dziurkowce, kończą całe dzieło. Życie i obyczaje zwierząt napisane są popularnie, językiem czystym, stylem gładkim i jasnym; w wielu miejscach przytoczone są nader ciekawe fakta z życia zwierząt. Jednak, wyznać szczerze musimy, iż znajdują się także dość znaczne usterki, odnoszące się już to do planu dzieła, już do podziałów zoologicznych, określenia grup. nazw pojedyńczych zwierząt i t. p.

Najprzód nieproporcyjonalnie są opracowane różne działy zoologiczne, jedne z nich są obszerniej traktowane, ze szkodą lub zupełnym pominięciem drugich; tak np. prawie że pominięte owady, które tyle ciekawych dowodów zmyślności przedstawiają.

Powtóre, niepodobna się z autorem zgodzić na podziały i określenia niektórych gromad, a nawet wielkich działań; czyż to podobna dzielić zwierzęta na: Kręgowe, Stawowate i *„Brzuchowce“* i następnie określając *brzuchowce* tak: „zwierzęta o wiele niższe od stawowatych; najwidoczniejszym ich organem jama, w której odbywa się trawienie — nie dopatrujemy w nich głowy, członków, przyrządów zmysłowych“ zaliczać do nich: 1) *Mięczaki*, z których *głowonogie* (Cephalopoda), są doskonalsze w swej organizacyi od Stawowatych, a większa część Mięczaków ma głowę wyraźną, zmysły, organa miejscozmienności. 2) *Promieniaki* (Radiata). 3) *Zwierzokrzewy v Polipy* (Polipi), jak gdyby Polipy nie były zwierzętami *promienistemi*. 4) *Żyjątka* (Protozoa). Trudno także pokryć milczeniem wyrażenia, że *żyjątka* (zapewne mają to być wymoczki) liczą do 100 żołądków, gdy naprawdę wymoczki nie mają ani jednego żołądka, — i tylko niegdyś *Ehrenberg* utrzymywał, że wymoczki mają żołądek rozgałęziony, lecz oddawna już to pojęcie ustąpiło z nauki; — podobnie że Pająki mają 4 nogi, kiedy mają ich 8-m, t. j. 4-y pary. Trudno także przystać na nazywanie *Pająków* (choć by w najpopularniejszy sposób) *owadami*; na to, że *Chiromys madagascarensis* ma kły, gdy to zwierzę, jako z układu zębowego najbliższe szczurowatych, ma *zęby przodowe*, a *kłów wcale* nie ma; że wymoczki sprawiają świecenie morza (gdy świecą Pyrosomy i Noctiluci), że *Diatomy* i *Volvox* są wymoczkami, gdy dziś uważane są za niezaprzeczone wodorosty.

Wiele także do życzenia, pozostawiają nazwy polskie, jakie autor ponadawał różnym zwierzętom, - a które to zwierzęta, miały już nazwy utarte w nauce i powszechnie używane przez krajowych zoologów. Tak *Colobus* nazywa się *Niedołęg* (Jarocki) nie zaś *Gercz Cercopithecus Koczkodan* nie zaś *Kot morski*, *Cebinae* nazywają *Ogonatkami*,—a autor nazwał je małpeczkami. *Cebus* zowie się *Płaksa*, *Pithecia*, *Szataniec* (A Waga), - *Arctopitheci* (Hapalinae) noszą nazwę *Małpeczek*, autor zaś przezwał je *Małpami pazurowemi*. *Haliaetus albicilla*, nazywa s ę *Orzeł bielik* (Tyzeuhaus) *v łomignat*, nie zaś *„Orzeł bosy“* i t. p.

Techniczna strona dzieła, jest świetna, albowiem i czcionki, w tekście umieszczone drzeworyty, wyszły czysto i jasno, a 40 rycin (na tonie) doskonale wykonanych, przyczyniają się znacznie do podniesienia okazałości książki, tym więcej, iż druk jest wyraźny na papierze białym i gładkim. W każdym razie dzieło „Życie i obyczaje zwierząt“ jest książką pożyteczną i stanowiącą ważny nabytek dla naszej popularno zoologicznej literatury.

A. Śló.

Rozmaitości.

— Kuryjer codzienny w Nr. 28 mówiąc o propozycyi założenia w Warszawie *prywatnego realnego* Gimnazjum, wnosi aby jeżeli Gimnazyjum to dojdzie do skutku (a dojść koniecznie powinno), nadać mu miano „Gimnazyjum Kopernika”.

— Zapowiedziane wydawnictwo „Panteonu wiedzy ludzkiéj” Bronisława Trentowskiego, o którym w czasie właściwym wspomnieliśmy byli w Opiekunie Domowym, zaczęło już obecnie wychodzić w Poznaniu. Pierwsze dwa zeszyty opuściły prasę. Całość składać się będzie z 30 zeszytów. Cena zeszytu (drogą przedpłaty) 12½ srebr. groszy.

— Gazeta angielska „Swiss Times” podaje następny wykaz pisarzy francuzkich, którzy rozpoczęli swój zawód w biedzie, a którzy podług rzeczonej gazety mają majątki jak następuje:

Wiktor Hugo 600,000 fr., Jerzy Sand 1,200,000 fr., Emil Girardin 8,600,000 fr., Dumas syn 500,000 fr. Edmund About 250,000 fr., Alfons Karr 500,000 fr, Juljusz Janin 570,000 fr., Adolf Thiers 1,000,000 fr., Sardou 500,000 fr. i t. d.

— Magistrat m. Woźnik, na Szląsku górnym ogłasza, że pożądanym jest, ażeby osiadł tamże lekarz mówiący po polsku. Za leczenie chorych ubogich miejscowych, zapewnia się 100 talarów rocznie. Apteka jest w miejscu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Fran. Ejs. w Kijowie. Dziękujemy za słów kilka serdecznego uznania — i prosimy o korespondencyje.

Studentowi Uniwersytetu. Nad tym co Pan proponujesz, my oddawna już myślimy, tylko wypada pamiętać że nie odrazu Kraków zbudowano. Biblioteki pozytywnéj wyszły dotąd trzy zeszyty — 4 5 i 6 wkrótce się ukażą, więc żadnego nie ma opóźnienia.

Panu Wład. Wojnicz. w Petersburgu Dziękujemy Panu za pamięć. Szereg artykułów z higieny mamy już przygotowany — brak tylko miejsca nie pozwolił nam ich zużytkować dotąd.

Prenumeratorowi Opiekuna. Za popieranie zamiarów naszych dziękujemy Panu serdecznie. Z przyczyn od nas nie zależnych, musimy się wstrzymać czas jakiś z ogłoszeniem pańskiej odezwy.

Panu J. W. Wiersz „Dążmy ku oświacie” drukowanym nie będzie.

— *P. Zyg. Lisow. w Krakowie.* Komplet wraz z dodatkami broszurowanemi, opakowaniem i przesyłką do Krakowa kosztować będzie Rs. 5.

— *P. Bol. Bylczyńskiemu w Borystenowie.* Najmocniej przepraszamy za omyłkę co do roku sądziliśmy że chodzi o rok bieżący, komplet wysyłamy.

— *P. Bolesławowi Selc. w Żarkach* 22 Rs. odebraliśmy życzenia spełnione.

— *P. Faus. Sw.* w *Mzurowie*: Korespondencyja pańska porusza bardzo ważną kwestyją, ale tylko porusza. Potrzebaby więc lepiej umotywować i szerzej opracować projekt, w mowie będący.

— Konradek, Zygmuś i Mania Mackiewicz, złożyli w naszej Redakcyi Rs. 6 kop. 75 na *Album Kopernika.*

— *Panu Sylw. Żdżarskiemu w Pińczowie.* Nie mamy pana na liście prenumeratorów. Pan Goldhaar winien o dodatki jakie pana nie doszły, odnieść się do Księgarni Warszawskiéj, z którą zostaje w stosunkach.

Pani Maryi Okol... w Mohilewie. Nr. 36 Opiekuna Domowego z r. z. wysłany był w właściwym czasie obecnie zupełnie wyczerpany i służyć pani nie możemy.

Panu P. Suchor... w Pastyrsku. Opiekun wysyłany regularnie, Kalendarz posłany 8 b. m

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa. Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.